

Gustaw Morcinek

O zapadniętym mieście Piekiełku

Za Skoczowem w kierunku Cieszyna idący drogą wędrowiec natrafi na duży, czarny las, a w lecie na wzgórzu. Z jednej strony płynie rzeczka Bładnica, z drugiej zaś strony jest głęboki jar, w którym po nocach straszy, bo tam powiesił się stary Szweda, gdy cały swój majątek przegrał w karty. Ów las rośnie w tym miejscu, gdzie przed bardzo wielu wiekami było miasto. Jak się ono nazywało, nikt nie wie po prawdzie. Ludzie powiadają, że Piekiełko. Być może. I jak jeszcze powiadają, w tym mieście żyli bardzo źli ludzie. Byli to złodzieje, zawalidrogi, wierutni łgarze, oszusty, pijaki i rabuśniki. A byli tak skąpi, że niech ręka boska broni. Prawdziwe liczykrupy.

I gdy któryś z tamtych mieszczan jechał do Cieszyna na targ z mlekiem i masłem, to do mleka dolewał wody, a masło mieszał z ugotowanymi ziemniakami, dla niepoznaki zaś barwił je wywarem z marchwi. A do miodu lali syrop ziemniaczany i sprzedawali go cieszyniakom jako najprzedniejszy miód lipowy. Słowem, na wołowej skórze człek by tego nie spisał, co tamci mieszczenie z Piekiełka kramarzyli i jakie złe nici przędli. Byli bowiem także czarownikami. Umieci doić mleko z osikowego kołka w białego do szpary w belce. Umieci zamieniać niciane guziki w talary tak bardzo złote, że nawet książęcy mincerz w Cieszynie ani rusz nie mógł poznać, czy to jest niciany guzik, czy złoty talar. Stare mieszczeni zaś latały na miotle w noc świętojańską na Łysą Górę, gdzie robiły kiermasz z diabłami. Żyli więc tamci mieszczenie w wielkim grzechu, swarzyli się o byle co, wytlukiwali sobie wzajemnie zęby lub nabijali guzy na łbie, a byli tak skąpi – jako już się rzekło – że nawet łapali komary i wytapiali z nich sadło na patelni.

A niedaleko Piekiełka mieszkał w lecie pustelnik, mąż wielce zacny i mądry. Widział to rozwiązłe życie mieszczan i raz po raz przechodził na rynek i upominał ich, nawracał na prawą drogę i groził wielką karą, jeżeli się nie poprawią. Mieszczenie jednak kpili, pośmiewali się, dzieci naigrywały się z niego, a jeżeli zbyt długo prawił im kazania, wypędzali go z miasta z wielkim wrzaskiem, ba, nawet psami wyszczuwali.

- Pamiętajcie, że przyjdzie na was kara! – groził im wielce zgorzony.

- Nie fanzol, stary dziadzie, a że, nie! – odkrzykiwali mu mieszczenie i jeszcze bardziej kramarzyli z diabłem, zajmowali się czarami i przędli złe nici, czyli oszukiwali na wadze, napadali na przejeżdżających kupców, cyganili, chodzili pijani i nawet tańczyli w Wielki Piątek.

Pustelnika jednak bolało serce, gdyż wiedział, że jeżeli mieszkańcy Piekiełka nie nawrócą się, zguba ich murowana. Wyczytał bowiem w gwiazdach, że dopełnia się miarka ich grzechów. Gdy miarka przebiecze, koniec z przegrzeszonym miastem! Poszedł więc jeszcze raz, stanął na rynku i jął nawoływać mieszczan do poprawy. Między innymi powiedział, że największą zbrodnią jest krzywda człowieka, a oni krzywdzą ludzi, oto, chociażby tego drwała pod lasem, który wiernie służył mieszczenom, a gdy się zestarzał i nie mógł już pracować, burmistrz wyrzucił go z chałupki i kazał mu się wynieść do wszystkich diabłów. Albo tę biedną, chorą wdowę, która umarła ze zgrzyoty, bo ją także mieszczenie wyrzucili

z chałupki po drugiej stronie lasu, gdyż nie miała ani grosika na zapłacenie komornego. Wdowa zmarła, a została sierotka Stazyjka... Mieszczanie słuchali nawoływań pustelnika, lecz potem zaczęli z niego pokpiwać, drwić, a gdy im się sprzykrzyło jego upominanie, wygnali go i znowu psami wyszczuli.

- Jeżeli spełnicie, chociażby jeden dobry uczynek, uratujecie swe miasto przed zagładą! – rzekł jeszcze do krzyczącej i urągającej miejskiej tłuszczy.

Sierotka Stazyjka zaś błąkała się i nie wiedziała, co z sobą począć. Była to dziewczynka o lnianych włosach, o niebieskich oczach, a tak bardzo smutna, że się serce krajało na jej widok. Gdy jej matka umarła, postanowiła pójść w świat w nadziei, że ktoś jej tak powie:

- Stazyjko! Chodź, będziesz, moje gęsi pasać! A ktoś inny może powie:

- Stazyjko, chodź! Będziesz moje kozy pasła.

I tak łudząc swe zasmucone serce, szła i szła, aż przyszła do miasta przezwanego Piekiełkiem. Było to już pod wieczór. Niebo poczerniało od czarnych obłoków, błyskawice zaczęły latać między nimi, pioruny grzechotały, a grzmoty przewalały się z jednego krańca nieba po drugi kraniec, wielki wichur zaś zerwał się i leciał wyciem ponad ziemią. Dopadł Stazyjki, gdy weszła w bramę miasta Piekiełka. Wtedy lunął rześisty deszcz, Stazyjka zaś nie miała parasola. Zaczęła więc pukać od drzwi do drzwi i prosić:

- Ludeczkowie złoci, przenocujcie mnie.

Lękała się bowiem burzy, czarnej nocy, błyskawic i wichru. Mieszczanie jednak odpędzali ją ode drzwi i wymyślali jej bardzo szpetnie. Nawet grozili kijem, jeżeli będzie się naprzykrzać. I tak przesłała całe miasto i wszędzie odpędzano ją z krzykiem i wymyślaniem. Najgorzej było w domu pana burmistrza. Jego dom był ostatnim, do którego drzwi pukała. Zapukała raz i drugi, a wtedy wyszedł burmistrz podobny do kudłatego zbója z wielkim brzuchem, zły jak wszyscy diasi, a ujrawszy Stazyjkę wrzasnął chrapliwie, żeby się wynosiła do jasnej cholery, bo jeżeli nie odejdzie, to kij połamie na jej grzbiecie. To rzekłszy, zatrzasnął drzwi, Stazyjka zaś rozplakała się jeszcze rzewniej i pomyślała, że przyjdzie jej umrzeć w tym wichrze, deszczu, burzy i grzmocie piorunów. Pod bramą była psia buda, a w budzie leżał skulony pies. Miał on dobre psie serce i dużo pcheł.

- Chodź do mojej budy! – szepnął przymilnie. – Bo zmokniesz! Mam wprawdzie regiment pcheł w swych kudłach, ale chyba milsze pchły aniżeli tamci zbóje bez serca. Stazyjka więc weszła do psiej budy, przytuliła się do Boska – bo ten pies nazywał się Bosek – objęła go ramieniem i usnęła. A tymczasem burza srożyła się coraz bardziej, pioruny waliły, że się aż ziemia trzęsła, lecz Stazyjka nic nie słyszała, gdyż była bardzo zmęczona i spała twardo. Przebudziła się tylko wtedy na krótką chwilę, gdy przewalił się tak wielki grzmot, iż zdawało się, ziemia rozłupała się na dwoje. Potem znowu usnęła. A gdy wyszło słońce, na niebo, Bosek polizał ją po nosku, zbudził i zaszczekał:

- Coś mi się wydaje, że miasto Piekiełko diabli wzięli!

Stazyjka wyszła z budy, popatrzyła i o rety! Nie ma miasta! Było jeszcze w nocy, a teraz nie ma śladu po nim. Miasto się zapadło!... Ojej, co teraz będzie?

- Nic nie będzie! – szczechnął Bosek. – Miasto się zapadło i zbyte! Wielkie rzeczy! I dobrze się stało, że tak się stało. Już mnie nikt nie będzie bił, kopał czy kamieniami ze mną ciskał. Ale, ale! Bardzo cię, Stazyjko, moje pchły oblaży?

- Nie bardzo!

- No to dobrze! Wobec tego idziemy w świat. Ty ze mną, ja z tobą, jakoś sobie damy radę! Chodźmy najpierw do pustelnika. Poszli więc do pustelnika. Zastali go w progu, jak karmił z dłoni ptaki i sarenki. Stazyjka powiedziała mu, że miasto Piekiełko zapadło się w ziemię dzisiejszej nocy...

- Diabli je wzięli! – szczechnął Bosek.

- Nie godzi się tak mówić – zbeształ go pustelnik. – Miasto spotkała zasłużona kara... A wiecie, co my teraz zrobimy?

- Nie wiem, panie pustelniku! – rzekła Stazyjka.

- Ja też nie wiem. Wiem tylko tyle, że mnie pchły kęsają – warknął Bosek.

- Ha, jeżeli cię pchły kęsają, zaraz je wyiskamy z twoich kudeł, Kładź się, a teraz oboje, ty, Stazyjko, i ja, wybierzemy je Boskowi. Trudno bowiem wędrować po świecie z takim zapchlonym psem. I oboje zaczęli je wybierać z boskowych kudeł. A gdy już nie było ani jednej, pustelnik pogłaskał swą długą, białą brodę i tak rzekł.

- Teraz idziemy w trójkę w świat i założy my nowe miasto. I poszli. Szli i szli, aż przyszli w dolinę, nad rzekę, która nazywa się Wisła. Pustelnik rozglądnął się wzdłuż i wszerz po dolinie, stanął na brzegu Wisły i rzekł:

- Tu założymy nowe miasto!

- A jak je nazwiemy, panie pustelniku? – zapytała Stazyjka. – Czy Piekiełkiem?

- Hauhau! – pośpieszył Bosek z odpowiedzią.

- Ani Hauhau, ani Piekiełkiem, tylko zaczekamy, aż sobie samo znajdzie imię. Ale najpierw muszę pogadać z królem utopców – to rzekłszy, zamruczał coś pod nosem i w tej samej chwili woda w Wiśle zakotłowała, zapieniała i wynurzył się z niej jakiś stary utopiec z koroną na głowie, a z nim dwa również stare, ale bez korony.

- Cześć ci, o królu wiślańskich utopców, Plumplumpie Pierwszy! – rzekł pustelnik i skłonił się przed nim aż do ziemi. Plumplump I zaś siedział zanurzony w wodzie, tylko łapkami trzymał się brzegu.

- I tobie cześć, przezacny mężu! – zaskrzeczał. – O co ci chodzi, że mnie wołałeś? Hej – odwrócił się do tamtych dwóch towarzyszy bez koron na głowie. – Ministrze Bulbul, i ty, skrybo Pchpchpch, przybliżcie się...

Minister Bulbul i skryba Pchpchpch podpłynęli i nastawili kłapate uszy, by lepiej słyszeć, o czym będzie rozmawiał pustelnik z ich królem Plumplumpem I. Stazyjka na ich widok lekko się zatrzwożyła, bo jak żyw nigdy jeszcze nie widziała takich śmiesznych stworzeń wodnych o małych mordkach, Bosek zaś nastroszył się, szczechnął i skrył się za nogą pustelnika.

- Najjaśniejszy królu utopców – zaczął pustelnik – oto chcemy założyć nowe miasto na tym brzegu, gdyż tamto dawne, przezwane Piekiełkiem dzisiaj w nocy zapadło się w ziemię za karę...

- No, to zakładajcie! – zaskrzeczał Plumplump I.

- Tak, tylko chodzi o to, by Wisła podczas powodzi nie groziła mu zalewem... I dlatego udaję się z uniżoną prośbą do ciebie, przeświecny królu, byś miał nasze przyszłe miasto w opiece, by twoi poddani nie robili jego mieszkańcom krzywdy i by w czasie powodzi strzegli brzegów Wisły...

- Uczynię, jak prosisz – rzekł król Plumplump I, a potem zawrócił się do swego ministra i skryby: - Ty ministrze, będziesz miał na głowie troskę o nowe miasto, a ty, skrybo zapisz to w królewskiej księdze, co powiedziałem przezacnemu pustelnikowi i ministrowi Bulbulowi. – I znowu zwrócił się do pustelnika: - Buduj miasto! Będzie ono pod opieką wszystkich wiślańskich utopców.

To rzekłszy, zniknął w wodzie, woda zakotłowana, za nim zniknął minister, za ministrem skryba. A gdy znikali w głębinie, król pożegnał pustelnika, dziewczynką i psa słowami: - Plum, plump!... – minister zabalgotał: - Bul, bul, bul!... – a skryba zaparskał: Pch, pch, pch! I już było wszystko w porządku.

Nowe miasto nad Wisłą powoli się rozrastało, schodzili się doń ludzie pracowici i zacni, utopce broniły go przed powodzią. Stazyjka rosła i piękniała, pustelnikowi zaś bielila się coraz dłuższa broda, bo się starzał z każdym dniem, a pies Bosek wylegiwał się w słońcu i chwalił sobie żywot. Owo miasto wciąż jeszcze nie miało nazwy i ludzie mówili o nim po prostu „miasto”. Aż pewnego razu stała się rzecz niezwykła. Oto drogą od Krakowa pędził na białych koniach jakiś dziewczęcy orszak, a za nim sadził na czarnych koniach regiment wojaków w czarnych zbrojach, na czele gnał jakiś znamienity zbój czy coś podobnego, również w czarnej zbroi i z dużym pawim pióropuszem na hełmie. Coś bełkotał po cudzoziemsku i widać wołał na tamten dziewczęcy orszak, by się zatrzymał. Na przedzie orszaku zaś uciekała na koniu prześliczna dziewczica o jasnych rozpuszczonych włosach. Oglądała się raz po raz za siebie i widząc dopędzającego ją czarnego rycerza na czarnym koniu ze zgrają i czeredą wrzeszczących wojaków, załamywała białe ręce, jeszcze bardziej popędzała swego siwka. Gdy orszak dziewczęcy dobiegał do rzeki Wisły, obejrzała się jeszcze raz, a widząc, że nie umknie tamtemu czarnemu rycerzowi, wspięła konia i skoczyła do Wisły. I utonęła wraz z koniem. Jak się później okazało, była to córka króla Kraka, królowna Wanda, a ten rycerz to był niemiecki król Rydgier, który koniecznie chciał się z nią ożenić. Ponieważ zaś królowna Wanda nie chciała Niemca, przeto skoczyła do Wisły pod nowym miastem. Rydgier zaklął bardzo szpetnie po niemiecku, machnął ręką i zawrócił ze swymi wojakami tam, skąd był przyszedł, a Wiosna niosła ciało królowny Wandy, niosła i niosła, aż zaniósła pod Kraków, gdzie je dobrzy ludzie wyłowili z rzeki i pogrzebali, a na jej grobie usypali wysoką mogiłę. Mieszczanie zaś, zwołani przez pustelnika, na pamiątkę tego zdarzenia przezwali swe miasto Skoczowem. Jakby dlatego, że w tym miejscu królowna Wanda skoczyła do Wisły. I w taki sposób owo miasto zaczęło się nazywać Skoczowem. W piekiełku zaś do dziś dnia straszy w noc świętojańską, gdyż zakwitają paprocie. Jeżeli przyłożyć ucho do ziemi, można słyszeć bardzo żałośnie bijące w niej dzwony. Dlatego też nikt z dzisiejszych skoczowian nie udaje się w noc świętojańską do Piekiełka. Lękają się bowiem, że mogłoby ich dosięgnąć przekleństwo zapadniętego miasta. I na tym kończy się przedziwna historia o powstaniu Skoczowa.